

Internet bez porno prawem, nie towarem

12 października 2022

Minister Cyfryzacji wymyślił sobie, że dostęp do internetu bez pornografii powinien być „prawem, nie towarem” i, co za tym idzie, chce zmusić wszystkich dostawców internetu w Polsce do umożliwienia takiego dostępu za darmo. Bo trzeba chronić dzieci. Inaczej mówiąc, wszyscy dostawcy internetu w Polsce, duzi i mali, mają na własny koszt świadczyć swoim użytkownikom usługę, jaką obecnie świadczą tylko niektórzy z nich i to zwykle za opłatą – blokada stron internetowych nieodpowiednich dla dzieci, w tym pornograficznych, jest obecna np. w usłudze „Dzieci w Sieci” (T-Mobile) oraz „Dzieci” w Plus.

To, że nie każdy dostawca internetu świadczy usługę tak rozumianej kontroli rodzicielskiej oraz to, że bywa ona świadczona odpłatnie wynika z tego, że jej świadczenie jest związane z kosztami. Bo ruch internetowy trzeba wtedy sprawdzać i blokować. Trzeba użyć albo jakichś urządzeń filtrujących w sieci, albo zaoferować użytkownikowi aplikację, która będzie robiła to na jego komputerze lub telefonie. Nawet jeżeli ma to polegać na prostym blokowaniu zapytań o adresy IP pornograficznych domen (co bardzo łatwo obejść ze strony użytkownika), to trzeba odpowiednio skonfigurować swoje serwery DNS i dbać o uaktualnianie ich baz danych.

Rezultatem wprowadzenia pomysłu ministra może więc być wypadnięcie z rynku tych dostawców, których na świadczenie takiej usługi za darmo nie stać, lub też podniesienie cen za dostęp do internetu, czyli sytuacja, w której wszyscy użytkownicy Internetu będą ponosić koszty usługi używanej przez niektórych.

Tym bardziej, że zgodnie z projektem ustawy, „Usługa ograniczenia dostępu do treści pornograficznych w internecie w

szczegółności polega na skutecznym i łatwym dla abonenta blokowaniu przez dostawców publicznie dostępnych usług telekomunikacyjnych świadczących usługę dostępu do internetu, dostępu do treści pornograficznych w internecie". Czyli odpada zarówno wariant oferowania przez dostawców aplikacji do samodzielnej instalacji przez użytkownika (bo blokować mają dostawcy), jak i wariant polegający na blokowaniu pornograficznych domen (tak jak blokuje się obecnie obowiązkowo domeny związane z grami hazardowymi) na poziomie serwerów DNS dostawców (bo nie jest to blokowanie skuteczne – wystarczy, że użytkownik ustawi sobie w komputerze lub telefonie adresy serwerów DNS spoza Polski – a ponadto nie da się tak zablokować treści pornograficznych na np. Twitterze, no chyba że odcinając cały ten serwis).

Pozostaje więc filtrowanie sieciowe w warstwie aplikacji, które co prawda też nie jest stuprocentowo skuteczne, ale obejść je nie jest już tak łatwo. Tylko, że takie coś wymaga mocniejszych urządzeń sieciowych i stale aktualizowanych baz adresów stron internetowych, więc z punktu widzenia dostawcy internetu może być to już istotny koszt.

Internet to nie tylko strony internetowe. To także np. komunikatory. Blokowanie treści pornograficznych w komunikatorach, zwłaszcza z komunikacją szyfrowaną, to już wyższa szkoła jazdy i nie mam pewności, czy ktokolwiek skutecznie zablokuje taki dostęp bez całkowitego „wycięcia” komunikatorów (co zresztą samo w sobie też jest wyzwaniem, o czym przekonał się Roskomnadzor próbując zablokować Telegram). A za nienależyte wypełnianie obowiązków dotyczących umożliwienia abonentowi skorzystania z usługi ograniczenia dostępu do treści pornograficznych mają grozić kary pieniężne nawet do 3% rocznego przychodu.

Internet to także możliwość komunikacji przez VPN, szyfrowane proxy czy TOR – czy skuteczne blokowanie dostępu do treści pornograficznych ma objąć też próby wyeliminowania tej możliwości? Bo w ten sposób można się przecież dostać do

normalnie blokowanego porno.

Z uzasadnienia projektu wynika, że dostawca internetu powinien dostosować środki techniczne „odpowiednio do swoich możliwości”, ale jednocześnie powinien spełnić oczekiwania abonentów co do skuteczności. Być może więc wystarczy jedynie „jakaś tam” skuteczność, ale nie oznacza to, że koszty ponoszone przez dostawców internetu będą niskie. Autorzy projektu nawet nie próbują ustalić, jakie – w ocenie skutków regulacji w punkcie „Wpływ na konkurencyjność gospodarki i przedsiębiorczość, w tym funkcjonowanie przedsiębiorców oraz na rodzinę, obywateli i gospodarstwa domowe” skutki w ujęciu pieniężnym w przypadku przedsiębiorców określone są bez żenady jako „brak danych”, a w przypadku obywateli i gospodarstw domowych optymistycznie jako zerowe, choć całkiem możliwe, że ceny dostępu do internetu jako takiego przez to dodatkowo wzrosną. Dalej znajduje się wprowadzenie stwierdzenie, że „bazując na dostępnych wyliczeniach przeprowadzonych przez dostawców dostępu usługi do internetu, wstępny koszt wdrożenia rozwiązań umożliwiających na blokowanie dostępu do treści nieodpowiednich oraz prowadzenie działań promocyjnych, oscyluje wokół kilkudziesięciu tysięcy złotych do kilkuset tysięcy złotych”, ale ostatecznie „nie jest możliwe oszacowanie ogólnych kosztów wdrożenia rozwiązań przewidzianych ustawą” (w tym również korzyści utraconych przez tych dostawców internetu, którzy obecnie odpłatnie świadczą usługi kontroli rodzicielskiej).

Tak na marginesie, mimo iż projektowana ustawa nosi tytuł „o ochronie małoletnich przed dostępem do treści nieodpowiednich w internecie”, to zajmuje się jedynie ich ochroną przed pornografią. Nakazywane przez nią środki mają chronić jedynie przed treściami pornograficznymi – nie ma nic o ochronie przed np. treściami propagującymi przemoc, ryzykowne zachowania, narkotyki, hejtem, mową nienawiści i innymi rzeczami, przed którymi prawdopodobnie wielu rodziców chciałoby chronić swoje dzieci. Ochronę przed tym wszystkim w internecie rodzice

najwyraźniej mogą organizować swoim dzieciom sami i na własny koszt, ale przysłowiowa „goła dupa” jest tak groźna, że ochronę przed nią muszą mieć dostępną zawsze i za darmo. Przynajmniej według ministra cyfryzacji.

Autorstwo: Jacek Sierpiński

Na podstawie: Legislacja.rcl.gov.pl

Źródło: Sierp.Libertarianizm.pl